№ 29. Kraków 20 Listopada — Sroda. Rok 1850.

Wychodzi w Krakowie trzy razy na miesiąc, tj. 10go 20 i 30go każdego miesiaca jako dodatek do Czasu.

DODATEK LITERACKI DO CZASU.

Pojedyńczy arkusz Dodatku kosztuje grp. 15. Prenumeratorowie Czasu otrzymują go bezpłatnie.

POPAS W PIOTRKOWIE.

Liczne grono osób napełniało salon pani L. w Warszawie, gdzie się często zbierały znakomitości literackie, a między témi, jak zwykle, przyjaciele domu i literaci, i jeszcze pewien rodzaj pasożytów żyjących, że tak powiem, cudzym rozumem i dowcipem; całe ich bowiem zatrudnienie roznosić z salonu do salonu każdą nowinę, trafne słówko, i nieznaczącéj osobie swéj nadawać pewne przez to znaczenie i wagę, że się otarła o jaką sławę narodową, lub miała szczęście z nią rozmawiać.

Zdarzyło się na jednym z takich wieczorów, że Brodziński znalazłszy się przypadkiem obok takiego jegomości, w roztargnieniu swojem, co mu się nierzadko zdarzało, wziął go za znakomitego badacza przyrody, i wszczął z nim poważną rozmowę o bogactwach kopalnych naszéj ziemi. Mniemany naturalista, niechcąc się odrazu zdradzić, że najmniejszego niema o rzeczy wyobrażenia, łatał swoje nicości ogólnikami, mięszał niekiedy wyrazy techniczne podsłuchane tu i owdzie na salonowych exkursyach, nadymał się, lekceważył dotychczasowe poszukiwania, a chcąc męczącéj ciekawości poety kark skręcić, co chwila zwracał mowę do czegoś innego. Ale Brodziński uparty nakręcał zawsze do przedmiotu, tem bardziéj że mu po głowie snuła się jakaś myśl poetycka którą chciał ubrać w szczegóły i barwy wzięte z rzeczywistości. Większa część towarzystwa zajęta opowiadaniem jakiejś pani o ostatnim balu, niezwracała uwagi na tę scenę komiczną; dopiero gdy się przedmiot wyczerpał, a gospodyni postrzegła że Brodziński niebrał w ogólnéj rozmowie udziału, i tylko we dwójkę z salonowym figurantem rozprawiał, pełne natężonéj ciekawości zwróciła spojrzenie w jego stronę, jakby chciała powiedzieć: co nasz poeta może mieć wspólnego z tym pustym dzwonkiem? Nieme jéj zdziwienie i zapytanie, udzieliło się całemu gronu, które również ciekawem spojrzeniem objęło rozmawiających; ztąd powstała głucha cisza i tylko dwa głosy słychać było w salonie.

Brodziński wpadłszy na przedmiot o kopalniach Olkuskich, męczył swojego sąsiada zapytaniami o rozciągłości tych min, o ich obfitości, i czyli otrzymana korzyść wyrównywa kosztom i pracy? a gdy się właśnie uciszyło, najpoważniéj zagadł go: chciéj mię oświecić pan Dobrodziéj, czyli i w innych stronach naszego kraju wydobywano srebro: słyszałem bowiem że w Tatrach są miejsca jak *Stara Robota* i *dziewiąta Bania,* które noszą ślady prac górniczych, i miały dostarczać dużo srebra?

—Tak, w rzeczy saméj—odparł sąsiad słuchaniem zgłuszony—są ślady, domysły, ale zdaje się....

—Kochany poeto! zawoła pani L.—porzućże tę nudną rozprawę o górnictwie, którą męczysz swego sąsiada niemającego żadnéj do górnictwa pretensyi; zapewne w roztargnieniu, wziąłeś pana Józefa, za jakiego naturalistę: i zarzucając go pytaniami, niepostrzegasz nawet żeś go w kłopot wprowadził. O jużto nasz poeta nigdy się z roztargnienia nie wyleczy!....

—Przepraszam, przepraszam mego pana, za tę pomyłkę—rzekł Brodziński—wpatrując się w sąsiada, który chustką pot z czoła ocierał—przeklęte roztargnienie! przyznaję się, wziąłem pana za kogo innego....

—To ci się tak często trafia—wtrąciła gospodyni—że....

—Że się i gniewać niewarto—przerwał poeta—nieprawdaż szanowna przyjaciołko!

—O któżby mógł się obrazić tém—dodała wyciągając doń rękę, co właśnie jest przymiotem duszy poetycznéj, zajętéj zawsze jakąś myślą wyższą, która z powszednością, co ją otacza, musi stanowić sprzeczność? Czyliż sławne roztargnienia Tadeusza Czackiego, Jana Potockiego, ujmują cokolwiek zasługom ich i sławie? Toż i twoje, panie Kazimierzu, nieidą na karb wady charakteru, ale owszem stanowią osobny urok, który cię tylko bardziéj interesującym czyni.

—Mościa Dobrodziejko!—przerwał z uśmiechem Brodziński—na ten panegiryk niepozostaje mi, jak doskonalić się w roztargnieniu; dotąd przynajmniéj starałem się odzwyczajać.

—O zostań już przyjacielu! takim, jakim cię znamy oddawna; choćby dla tego, że z tych miłych roztargnień wywiązują się niekiedy takie zajmujące sceny, jak owa, która, pamiętasz, przytrafiła ci się na popasie w Piotrkowie.

—Jakże to było? cóż to było? niewiemy—opowiedz nam pan!—ozwało się kilka kobiecych głosów.

—Piękna rzecz! zawołał Brodziński—niedość że śmieszności popełniam, ale jeszcze każecie mi być Homerem moich śmieszności.

—Niewyprosisz się! rzekła gospodyni—w razie twego oporu, ja sama tę przygodę opowiem, a opowiem może fałszywie, zwyczajnie jak wszystko, co pochodzi z drugiéj ręki.

—Jeżeli taki jest wyrok wasz moje panie,—westchnął Brodziński, przybierając potulną minę ofiary, tedy opowiem moją przygodę piotrkowską, nie trybunalską, bo już trybunału niebyło w Piotrkowie, ale po prostu przygodę w traktyerni.

—Słuchamy! słuchamy!—

—Wiecie zapewne państwo że jużto dla poratowania zdrowia, już aby cokolwiek zobaczyć pięknego świata, a najbardziéj, aby wolniéj odetchnąć po téj dusznéj atmosferze warszawskiéj, która jak ołowiem ciężyła na mózgu, wybrałem się w r. **1825** do Włoch. Com w téj słonecznéj krainie widział, co czuł, opowiadać niemyślę, bo to do rzeczy nie należy, a powtóre drukowane jest w moich listach umieszczonych w którejś gazecie. Ciekawych tam odsyłam, obecnych niechcę nudzić. Dość, że przewietrzywszy się na swobodzie, a któryż wojażer z paszportem i pieniędzmi i dobrą rekomendacyą, nie jest wolnym za granicą jak ptak—wracałem do kraju, myślicie zapewne: smutny, ze spuszczonemi uszyma, nito student wracający pod rózgę pedagoga?—przeciwnie—raczéj jak kochanek z wysuszoném sercem lecący do kochanki, który każdy krok co go zbliża do ubóstwionego przedmiotu liczy prędszemi uderzeniami pulsu. Powrót do rodzinnego gniazda, choćby to było smutne i ciemne jak grób, zawsze ma coś rozrzewniającego, i kojącego niepokój wewnętrzny jak uścisk matki. Przyznaję się w całéj pokorze ducha, że jeżeli doznałem wrażeń na widok pięknego nieba Włoch, jeżelim podziwiał to drugie niebo na ziemi w arcydziełach malarstwa, rzeźby, architektury, serce moje najmniéj było tknięte. Jakaś niewypowiedziana tęsknota ogarniała mię za naszem ubóstwem, prostotą, melancholicznemi piaskami Mazowsza, piosenką żniwiarzy; za tem powietrzem ostrém, za témi obłokami co w tak fantastyczne kształty malują nasz błękit—a najbardziéj za tém kołem przyjaciół co rozumie i twoje nadzieje i radości i cierpienia.... Kto wie może to pochodziło z obrażonéj dumy Polaka; widząc bowiem tych Włochów takich znikczemniałych obok wielkich pamiątek Rzymu, tak łakomych na grosz śród bogactw sztuki i natury, a tak leniwych, kiedy pracą i energią życia, mogliby stać się królem narodów—myślałem sobie: za cóż moją biedną ojczyznę upośledziły nieba? Tam przecież dusze i myśli wylatują nad poziom płaskości codziennych; serca pałają poświęceniem się i miłością; cnoty domowe kwitną, wiara gorąca, acz prosta jak w pierwszych wiekach chrześciaństwa—a jednak wszystko u nas macosze, i niebo i losy.... Przekonanie o naszéj lepszości moralnéj, obmierziło mi Włochy.... Kiedym się dość napatrzył, nadziwił, nawzdychał i natęsknił, pędziłem jak jaki feldjeger z depeszami, aby tylko co prędzéj ucałować tę ziemię, któréj garść jak relikwiarz miałem zaszytą w woreczku na piersiach; na przypadek śmierci w obcéj stronie

Ktośby ojczystą ziemią zasuł mi powieki
Aby lżéj z miłem słońcem rozstać się na wieki....

Pojmiecie kochane panie co mi się dziać musiało kiedym już blisko granicy, na Szląsku, zobaczył brzozę, ten symbol dziewicy słowiańskiéj; laury, cyprysy, oliwy, pomarańcze i cytryny, jakaż to zimna proza w porównaniu z naszą brzozą w białéj koszulce, z rozpuszczonemi na wiatr włosami! To jedno drzewko tłumaczy własności naszéj ziemi; w niém się upostacił duch słowiański, w niém.... ależ, przebaczcie roztargnieniu! mam opowiedzieć anegdotę, a tymczasem rozprawiam o duchu poezyi jakby na prelekcyi....

—Prosimy o takie roztargnienie; jak najwięcéj takiego roztargnienia! zawołały damy.

—A to wstyd dla mnie! mówił chwytając się za głowę—ja niegdyś profesor, zamiast pilnować wątka rzeczy, bujam sobie, zapominając w moim romantycznym szale o starym Horacym: *Denique sit quodvis simplex duntaxat et unum.*—A to czyste nieszczęście! znowu wyrywam się do pań z łaciną, jakbym prawił z katedry.

Tu odkrząknąwszy i poprawiwszy się na fotelu, zaczął wolnym głosem:

Teraz będę już ścisłym opowiadaczem; proszę mię tylko wstrzymywać ilekroć zboczyłbym z drogi dla jakiéj brzozy, lub obłoczku. Otóż przejechawszy granicę naszą, ze zwykłemi nieprzyjemnościami paszportowemi, i nieprzyjemniejszą stycznością z celnikami, którzy ci spłoszą najsłodsze rojenia—stanąłem na popas w Piotrkowie. Wygłodzony na pruskiéj kuchni, mającéj ten przymiot, że najlepszą rzecz popsuje; niczegom niepragnął jak dorwać się polskiego barszczu, którego zapach zaleciał mi zaraz na wstępie do kraju; przeto nieposzedłem oglądać osobliwości i zabytków trybunalskiego miasta, lubom wiedział że ich nie znajdę, tylko wprost kopnąłem się do porządnéj oberży, którą mi na początku wskazano. Wchodzę—nadedrzwiami wita mię ogromna tablica z napisem *Restauracya, Billard,* i dwa kije na krzyż złożone. Dół, jak zwykle u nas obryzgany błotem i brudny, kazał mi się domyślać, że restauracya musi być na piętrze. Szerokie, wymyte wschody, tém bardziéj mię utwierdziły w tém przypuszczeniu. W rzeczy saméj, znalazłem bardzo porządny salon, nawet elegancki, bo miał białe firanki i woskowaną posadzkę, co się rzadko spotyka po domach zajezdnych na partykularzu. Stół pośrodku nakryty cienką i świeżą bielizną, talerze porcelanowe, sztućce i łyżki srébrne, nietylko powiększały mój apetyt, ale rodziły pewną dumę że i za granicą, tak chlubiącą się z swoich hoteli, porządniejszego nakrycia i zastawy mało gdzie znajdziesz. Zatarłszy ręce z wewnętrznego ukontentowania, zapytałem któregoś z kielnerów krzątających się około kredensu: czy prędko będzie obiad?—

—Za chwilkę; odpowiedział.

—Dobrze—tylko się spieszcie!—a chcąc tę chwilkę, zwykle dla głodnych długą jak wieczność, czemkolwiek zapełnić, porwałem na bliskim stoliku leżący plik gazet, i zasiadłszy na dobre do stołu, zacząłem wartować *Kuryjerka,*

nieocenionego plotkarza, który zawsze ma ten przywiléj, że i najzagorzalszy polityk, od niego rozpoczyna swoją lekturę.

Po niedługiéj chwili stołownicy *table d'hote* zaczęli się schodzić, byli to sami wojskowi; niebawem wszedł przystojny, dobréj tuszy mężczyzna, przy szlifach jeneralskich — wszyscy oddali mu uszanowanie, ja także wstałem odpowiadając na grzeczny ukłon którym mię powitał; a widząc że się upragniona godzina obiadu zbliża, zadzwoniłem widelcem o szklankę, i zawołałem: *Garson*, dajno wódki!

Niepojmowałem dla czego, ale oczy obecnych zwróciły się na mnie jakby na raroga. Jenerał tylko, który ze mnie niespuszczał oka, pociągnął na bok tych panów i zaczął z nimi rozmowę po cichu. Podano mi wódkę, przekąskę; goście poszli za moim przykładem, aż też nakoniec i zupę wniesiono. Całe grono rzuciło się do stołu, obok mnie usiadł jenerał. Wszyscy musieli być z dobrym apetytem, bo przy zupie nikt słowa nie pisnął; dopiéro przy pasztecikach, kiedy mi nalano kieliszek wina, usłyszałem powszechną przypowiastkę o dukacie doktorskim, zwróconą do sztabowego lekarza.

W tém, któryś z oficerów nalał sobie piwa, na co sąsiad odezwał się: widać że kapitan nie poeta,

Bo tylko przy winie
Wiersz szczęśliwie płynie;
A wiersze przy piwie
Niepłyną szczęśliwie....

—Brawo! dowcipny wierszyk, aleś nie ty go skomponował poruczniku — odparł kapitan i uśmiechnął się znacząco do jenerała. Wreszcie, mówił daléj—acz wierszy nieskładam, bo to do mego regulaminu nienależy; wiém jednak, że są różne rodzaje poetów, jedni klasycy, drudzy romantycy; ci ostatni ażeby się odróżnić od tamtego obozu mogą smakować w piwie. Dla czegóżbym ja niemógł być sobie romantykiem?

—Tęgoś się odciął kapitanie!—zawołał poklaskując jenerał—masz słuszność, z ciebie prawdziwy romantyk, nie dla tego że pijesz piwo, ale żeś przez tyle awantur przechodził w legionach włoskich i w hiszpańskich, o jakich się ani śniło naszym romantykom co piszą o zaklętych księżniczkach, zaczarowanych zamkach, awanturniczych rycerzach, a piszą z kałamarza, nie zaś z tego co własném życiem zdobyli.

— Prawdę mówi jenerał! ozwał się któryś z starszych wojskowych — nieraz pękam od śmiechu kiedy mi w rękę wpadnie jaka ballada; baby pod kądzielą takich dubów smolonych nie plotą jak ci panowie, co to szukają nadzwyczajności w gusłach i innych bredniach, w które nikt ze zdrowym umysłem niewierzy; wreszcie poco to szukać poezyi gdzieś w mgłach, w księżycach, zwalonych zamczyskach, poco wywoływać duchy, kiedy przecież tyle pięknéj i poruszającéj poezyi snuje się między nami? Albo to nie romantyczny przedmiot— wiatr niesie piosenkę z nad brzegów Tybru: marsz, marsz Dąbrowski! wieczorem przy księżycu brzmi ona w głuszy naszych siół; młodzieńcze serca stęsknione za życiem, za sławą, umieją ją dosłyszeć; jaki taki wyprowadza po nocy konika ze stajni, przypasuje szablę ojcowską, rdzewiejącą od czasów Racławic i Maciejowic, i leci pod obce nieba wywalczać jeżli nie byt, to sławę.... a tenże powrót naszych rycerzy witanych przez ojców, matki, kochanki? a oważ wyprawa do Moskwy, kończąca się ogniem i mrozem jakby ostatni akt ogromnego dramatu.... nad którym unosi się olbrzymia postać człowieka przeznaczeń podobna płomienistemu jeniuszowi wieku, lub starożytnemu fatum?... To mi poezya! poezya prawdy, poezya rzeczywistości, a nie chorowite banialuki ckliwe i nudne jak lukrecya....

Z razu zajęty wybornym kawałkiem polędwicy słuchałem, że tak powiem, pół uchem, tych marsowych estetyków, ale ostatnie wyrazy siedzącego naprzeciw mnie oficera, szpakowatego, acz czerstwego wiarusa z krzyżem legii honorowéj, uderzyły mię trafnością swoją, że mimowolnie wypadł mi widelec z ręki, i pokusa wzięła wmięszać się do rozmowy; jakoż odezwałem się: Zdanie pańskie, pogodziéby powinno klasyków z romantykami, przenosząc poezyę na najwłaściwsze, bo narodowe pole; poezya bowiem niewpleciona w życie narodu, w jego uczucia, myśli, cierpienia, sny i nadzieje, będzie zawsze tylko igraszką, sztuką dla sztuki, i odgłosu nieznajdzie.... Wszelako młodych apostołów romantyzmu potępiać nienależy; oni to przygotowują ścieszki wieszczowi narodu, który kiedyś się zjawi....

Skończyłem — w sali stała się głucha cisza.... jużem był zły na siebie że ten wyskok mój uciął powszechną rozmowę, gdy jenerał z największą flegmą kończąc kieliszek wina, odezwał się jakby podejmując ostatnie słowa, którem wyrzekł: Kto wie, taki wieszcz może się i zjawił? Jeżeli w poecie ma się odbić żywot i uczucia narodu—mój poeta żył z ludem naszym i wié co mu tam w duchu gra; mój poeta szablą pisał dzieje, walczył w śniegach Moskwy i na polach Lipska. Żołnierz—poeta czynu; kochanek wsi i ludu—poeta uczuć.

— Kogóż jenerał rozumie? zapytało kilku wojskowych....

—Zgadnijcie panowie!

—Jenerale! przerwał z przymileniem młody oficerek — niech to z méj strony niebędzie pochlebstwem—ale....

—Już wiem gdzie mierzysz—pochwycił prędko jenerał—alebyś spudłował. Czyż to panowie, niedomyślacie się że mówię o bracie po mieczu, o słodkim autorze *Wiesława*? alboż to nie umiecie jego Legionisty:

Ojczyzna stanem moim, bom syn polskiéj ziemi,
. . . . Pomiędzy obcemi
Pójdę się dosługiwać i przez krew i blizny
By przechować choć jedną kroplę dla ojczyzny....

—Ach znamy! znamy! krzyknęli współbiesiadnicy—to nasz pan Kazimierz, nasz polski wieszcz!

Przyznaję się wam moje panie, że z razu zajęty tą rozprawą o klasycyzmie i romantyzmie, nieprzewidywałem że cała ta pogadanka taki obrót weźmie—ale kiedy nagle osoba moja stała się przedmiotem pochwał, kiedy ten i ów zaczął przypominać sobie różne wiersze jakiem kiedykolwiek napisał.... wszystka krew buchnęła mi do głowy.... czułem żem się zaczerwinił jak student—ażeby ukryć pomięszanie tonąłem twarzą w talerzu, na którym męczyłem kawałek ryby.... ale darmo! coraz bardziéj dojmowali to pochwałami, to pełną zapału deklamacyą moich rymów—niemógłem wytrzymać, rozrzewnienie, wdzięczność, wstyd może fałszywy, tak mi zmiękczyły serce, że tylko co miałem rozpłakać się w głos, jak dziecko... już nawet dwie duże łzy stanęły w powiekach—alem otarł je serwetą, i nagle zrywając się od stołu, tłumaczę się że dyliżans na poczcie odchodzi—wołam garsona, chcę płacić za obiad—garson ręce trzyma w kieszeni, i uśmiecha się odwracając głowę.

—Cóż to znaczy? pytam—wieleż się należy? Garson znowu się uśmiecha i głowę odwraca.

—Ależ mój kochany mnie spieszno na pocztę.

I kiedy się tak certuję przy drzwiach — cóż widzę? Oto jenerał i wszyscy oficerowie otaczają mię. Każdy z kielichem wina; służący stoi przedemną i kielich nalany podaje mi na tacy....

—Szanowny gościu! odzywa się jenerał biorąc mię za rękę—staropolskim zwyczajem trzeba wypić na wsiadaném.... A teraz mości panowie! obracając się do wojskowych—duszkiem! *Za szczęśliwy powrót ukochanego wieszcza— żołnierza do kraju!*

—Niech żyje! powtórzyli chórem....

Teraz dopiéro zrozumiałem żem niebył w traktyerni;—chciałem się tłumaczyć jenerałowi z mego roztargnienia; ale on biorąc mię w ramiona; zawołał: błogosławiona pomyłka, która mi zesłała tak pożądanego gościa! Jeżeli nasza biédna ziemia ani bogactwem sztuki, ani cudami natury niewyrównywa boskiéj Italii, niechże przynajmniéj jedną cnotą, staropolską gościnnością przewyższyć się nieda....

Ze łzami pożegnałem poczciwych wiarusów. Kto był jenerał? domyśliłem się łatwo, jak i państwo się domyślacie—oto, brat po lutni i mieczu, wieszcz—żołnierz: Franciszek Morawski!

Brodziński skończył swoje opowiadanie, a całe grono dziękowało mu, i unosiło się nad tym pięknym ustępem jego życia.

—Panie to nazywacie pięknym, poetycznym ustępem—ozwał się po chwili Brodziński—co ja nazywam, chwilą czyscowéj męki. Ilekroć wspomnę, co się niedziało z moją biedną figurą, kiedy musiała słuchać własnych pochwał, własnych wierszy, panegiryków (była to bowiem ukartowana scena)—to jeszcze mię dreszcz przechodzi, i krew do twarzy uderza... całą karafinkę wody wypiłem, i pąs z czoła nie chciał ustąpić.... Oj, napiekłem że raków! Ta nauczka uleczyła mię podobnoś na zawsze z téj nieznośnéj dystrakcyi!

—Ha! ha! ha! zawołała gospodyni śmiejąc się, zdaje się że doza musiała być za słabą; przecież niema i półgodziny, jak dałeś nam dowód doskonałéj dystrakcyi. Roztargnienie jest rysem, cząstką twojéj istoty — bez roztargnienia niemogłabym cię poznać, czyś ten sam, czy kto inny. Przypomnijże sobie jak przy wisku niecierpliwisz zawsze mojego męża gdy zamiast odgrywać na jego *inwit* matematycznie wyrachowany, patrzysz w górę—on pewny ze myślisz o zadaniu *atu*, a ty sobie powtarzasz pół-głosem wiersze z *Rocznicy* *)... A dawnoż to, kiedy pani Natalia w swoim salonie śpiewała *Ave Maria*—przeżegnałeś się i złożyłeś ręce do pacierza, myśląc żeś w kościele? A na tymże wielkim obiedzie danym dla pana u hrabiny W.... gdy ci gospodyni rękę podawała do stołu, nieścisnąłżeś ją po angielsku, a przystąpiwszy do mnie nie rzekłżeś: my sobie po dawnéj znajomości razem pójdziemy!... A znowu, na przechadzce....

—Nielitościwy mój cenzorze!—przerwał Brodziński składając błagająco ręce — pofolguj! pofolguj! To coś zakrawa na dłuższy rejestr grzechów przeciw tak nazwanym *usages du monde*, niż rejestr Leporella! protestuję—jeszcze raz protestuję: to nie są żadne dystrakcye, bo z nich się dawno uleczyłem—ale po prostu moja wieśniacza nieznajomość tych wszystkich waszych form i ceregielów światowych!—

HISTORYA ZAKONU JEZUITOW.

Po Templariuszach, niéma zakonu, któryby żywszy obudzał interes w historyku, nad zgromadzenie Jezuitów.

Piérwsi, blaskiem oręża, posługami dla kościoła i całego chrześciaństwa, niezmiernemi bogactwami i rozległemi stosunkami, tak się wysoko wynoszą, że upadek ich staje się nieuchronnym, podług zwyczajnego biegu namiętności ludzkich. Drudzy, potęgą rozumu, pracami moralnemi w kościele, nadzwyczajnym wpływem na panujące dwory, na opinią ludów i nakoniec—niezmiernemi dostatkami, zwracają na siebie uwagę kilku wieków; albo w nich tryumfują, albo ustają w niepewnych zapasach i wreszcie upadają. Piérwszych upadek jest skończony; jést owocem w połowie grubych obyczajów; i upadek ten w oświeceńszych czasach, znajduje politowanie, obronę i odzywa się boleśnie w sercach czułych, jak zanadto surowa i niezasłużona kara. Drudzy upadli w całym świecie katolickim; ruiny gmachów ich szeroko zalegają miasta Europy; ale jeszcze znajdują przytułek, i jeszcze powstają; upadają, znowu się podnoszą: i dotąd, z całą bezstronścią, ani zasługi ich ani wady nie są ocenione. I nic niéma dziwnego: bo ci ostatni umysłowie

*) *Rocznica*— poemat ten napisał Brodziński w 1832 roku. Poeta wystawia Warszawę płonącą illuminacyą z powodu rocznicy 8 września, i ożywioną natłokiem pojazdów pędzących na bal do zamku; tymczasem skromna łódka przemyka się Wisłą do Olszynki, gdzie kilka wdów i sierot, także tę rocznicę obchodzi w inny sposób; piękny ten utwór, czasby wydobyć z ukrycia.

przyszli walczyć ze wszystkiemi piérwiastkami Europy, w nowych jéj wstrząśnieniach, w nowych wyobrażeniach. Wszystko, co było innych pojęć, co nosiło potrzebę innych uczuć, wszystko przeciwko nim było, albo z dojrzałego przekonania, albo przez naśladowanie: to tylko zostało na ich stronie, co, albo widziało w nich społeczną potrzebę, albo dzieliło ich zasady.

Może jeszcze nie przyszedł czas pisać historyę tego sławnego zgromadzenia: bo, wrą namiętności, albo żyją ciężkie, świeże zniewagi, które się odnawiają i nowym płoną ogniem, przy każdém usiłowaniu umierającego zakonu. Jakaż jest siła tego zgromadzenia tajemniczego, o którém tyle pisano, które samo zapełniło połowę bibliotek, obszerne tomy o sobie napisało; przeciwko któremu tylu pisało i pisze, przy tylu mocnych przeciwnikach, znajduje jednakże obrońców, i w gotowéj śmierci życie gotowe; o którem nigdy powiedzieć nie można, że zgasło zupełnie, i nie można powiedzieć, że się nie odrodzi po zgaśnieniu?

Wszystko musi ich potępiać, bo mieli, i mają takich przeciwników, którzy prowadzą za sobą liczne zwolenników orszaki. Może kto powiedzieć, że same instytucye zakonu są objaśnieniem tego szczególnego wypadku w dziejach — i w części mogą być, i są one, zapewne; ale jakież stowarzyszenie zostawione sobie i swoim instytuciom, mogłoby się oprzeć całéj massie ludów, całemu ich wymaganiu? Muszą więc i oni mieć stronników; i gdy znaleźli ich w XIX. wieku, wieku powszechnéj kultury moralnéj, stronnicy ci muszą mieć zasady swoje, na których opierają opiekę swą dla zgromadzenia, jak je mają i przeciwnicy.

Z tego założenia wypada konieczny wniosek, że Jezuici mają dwie strony: szkodliwą dla jednych, pożyteczną dla drugich, i że obie wspierają się na moralném przekonaniu; na różnych i zupełnie oddzielnych początkach. Objaśnienie tych początków, musi koniecznie wywiązać się z samego wykładu ich dziejów; i takie tylko przedsięwzięcie może być najbezpieczniejsze dla pisarza, który za podstawę pism swoich obrał ścisłą, bezwarunkową prawdę.

I w naszym kraju Jezuici, wielkie zostawili pamiątki; występowali do wal..; ozdobili kraj wspaniałemi gmachami, wynieśli świetność religijnych obrzędów do dziwnéj wspaniałości; wydali wielkich i sławnych ludzi; rozszerzyli i wstrzymali nauki; zasłużyli się i zgrzeszyli; upadli do szczętu, i upadek ich był potrzebą i przedmiotém długich żalów, długiéj boleści i długich wspomnień.

Niema zakonu, któryby obszerniéj i staranniéj miał spisane dzieje swoje nad zakon Jezuitów; i niéma szczegółu, niéma życia osoby, któreby uszły pamięci i uwagi historyków zgromadzenia. Życie i czasy rządów założyciela jego Ś. Ignacego, wyłożone są w XV. księgach przez X. *Mikołaja Orlandina*, najpiérwszego historyka zakonu, a także przez Rybadanairę, Piotra Maffeja i Piotra Skargę; rządy sławnego Jakóba Laynesa w VIII. księgach przez X. *Franciszka Sakina*; od 1591 do 1616 roku, w obszernéj księdze opisał ozdobnie dzieje wielkiego zakonu X. *Juwencjusz*, z dołączeniem szczegółowego wyliczenia assystencyi, kollegiów, domów, missyii i osób składających zgromadzenie. Historyą nakoniec zakonu od 1616 do 1625. X. *Juliusz Kordara* wyłożył w X księgach. Wyznać należy, że wyliczone dzieła, w układzie swoim bardzo obszerne, bo składające się z ogromych tomów arkuszowych (in folio), przewyborną pisane są łaciną i zawierają w sobie wszystkie ważniejsze okoliczności, niekiedy obojętne dla obcego człowieka, ale mające, zapewne, wiele interesu dla każdego Jezuity, jak również zgodzić się potrzeba i na to: że przy podzielonych sądach i mniemaniach o tém sławném zgromadzeniu, koniecznie należy odczytać je ażeby się poznać z duchem instytucyi i z tém, co zakon, stale pasujący się od początku XVI. wieku z wielu zarzutami, mógł też, w rozmaitych czasach, powiedzieć na swoją obronę, gdyż tego i sprawiedliwość i bezstronność historyi wymagają. Do tego rzędu należą starannie zbierane i ogłaszane drukiem: Historya męczeństw Jezuitów, w różnych częściach świata i narodach, listy pisywane do Europy do przełożonych zakonu, przez jezuickich Missionarzów, historya nawet braci, czyli zakonnych sług domowych, jak braci kuchennych, braci zawiadujących odzieniem, winiarnią, apteką, zostających przy drukarni, lub użytych do kierowania rozmaitemi rzemiosłami, których czyny i w naszym języku z całém namaszczeniem i całą prostotą opisał znajomy nam X. Wojciech Wijuk Kojałowicz; pojedyńcze nakoniec życia Jezuitów, sławnych z nauki, albo świętobliwości, przez kapłanów tegoż zgromadzenia wydane. Źródła te, właściwie jezuickie, a zatém piérwsze i najgłówniejsze, uzupełniają się rocznikami Jezuitów, większemi i mniejszemi kalendarzami, obejmującemi, albo sto lat, albo jeden rok, i stale prowadzonemi aż do dnia dzisejszego, tak, iż w nich i najpiérwszy i najmniejszy w zakonie, corok był i jest umieszczony, i w następstwie czasu oceniony.

Ale nie wszystkoby zrobił historyk, gdyby się ograniczył bacznem odczytaniem tych ogromnych zbiorów: każdy bezstronny, i w przedmiocie podzielonym na stronnictwa, musi koniecznie obeznać się z mnóstwem ksiąg, pisanych przeciwko Jezuitom, już to pod tytułem: Tajemnic Zakonu Jezuitów, konstytucyi Jezuitów, processu z nimi w Paryżu, w Wenecyi, Akademii krakowskiéj z Jezuitami, Wileńskich Pijarów, processu w Portugalii i Hiszpanii, listów sławnego Paskala o Jezuitach, innych wielu wymierzonych przeciwko szczególnym Jezuitom, albo ich nauce; albo w oddzielnych pismach, albo w ulotnych pisemkach, innym przedmiotom poświęconych.

Z takiém przygotowaniem i na takich wsparci zródłach, przystąpiwszy do opisania dziejów tego wielkiego zakonu, którego same prochy zdają się jeszcze wrażać uszanowanie i przejmować uczuciem śpiących moralnych mocarzów, którzy żyli rozumem i pamięć rozumu po sobie zostawili, najwyższego i najpiękniejszego daru człowieka na téj ziemi. I w rzeczy saméj—gdy przy pomocy boskiéj—rozważymy dzieła ich i zapasy, w które wchodzili, tryumfy ich i upadki, korzyści i szkody, jakie przynieśli; będziemy musieli wyznać: że życie ich tak trwałe będzie, jak zasady katolicyzmu, jak pierwiastki sprężystych rządów. Tę tajemnicę bytu ich pojął najlepiéj w godzinę smutku ich i niedoli *Wawrzyniec Ricci*, który mając przeciwko sobie Klemensa XIV. i wszystkie dwory, zdobył się na tę dziwną odpowiedź: „niech będą jakimi są, albo niech nie będą“ *sint, ut sunt, aut non sint).* Odpowiedź ta, jenerała zakonu, malująca całą wielkość jego i wysokie przejęcie się świetnością powołania swojego, mimowolnie przypomina prawodawstwo Mojżesza, i w Riccim, wystawuje całą potęgę moralną stowarzyszenia, który użyteczność zgromadzenia swojego czyściéj widział od Klemensa XIV. i od owoczesnych panujących, tak skwapliwie domagająch się zaprzysiężonéj im zguby.

Rzuciwszy okiem na naszę piękną, obszerną krainę, któréj ojcowie całą wiarę położyli w swoi naszym Bogu, którzy tak ochoczo biegli do Jego ołtarzów i wznosili jemu nowe; spotykamy i na niéj obszérne i daleko ciągnące się gruzy ich gmachów i szerokie cmentarze, zajęte pamiątkami zakonu; spotykamy wielkie i sławne imiona, spotykamy głośne i ukryte czyny, dla jednych pożyteczne, dla drugich szkodliwe, i najwyższą potęgę stowarzyszenia i hańbę tułaczow, odrzuconych przez rodzinną ziemię; w téj jeszcze krwawéj obeldze służących krajowi z całą chwałą, całym pożytkiem i całym blaskiem piérwszych mężów w narodzie. I tuśmy się dotknęli niewyczerpanego przedmiotu, i tu moglibyśmy napisać obszerne tomy. I z naszych kazalnic rozlegały się dziwne słowa nawrócenia i pokuty, tak wysokie, że w ościennych narodach nic nad nie wyższego i piękniejszego spotkać nie możemy; i przy naszych konfesionałach, działy się w tajemnych przestrogach cuda pokuty i poprawy, i w naszych szkołach wzięli wykształcenie ludzie, którzy potém pożytecznie i długo — i we wszystkich czasach — jaśnieli w kraju wysokiemi obywatelskiemi zasługami. Ale i u-nas także były grzechy zakonu, które w godzinę wielkiéj jego boleści, opłacił on powróceniem tego wszystkiego, co przez wielki składał mu gorliwy, bogobojny i wdzięczny naród. Były u nas i inne jego grzechy, które obowiązkiem naszym będzie z całą prawdą i całą bezstronnością wystawić, jak się to należy pamięci wielkiego, zmarłego u nas zgromadzenia. Pracowitą tę część naszéj historyi, tém śmieléj przedsięweźmiemy, że wolni jesteśmy od wszelkich uprzedzeń i do żadnego stronnictwa nie należemy; i ponieważ niczego nie opuściliśmy, ażeby ten przeciąg czasu w dziejach krajowych wyświecić z całą najściślejszą prawdą.

Twórca nowych zasad w Europie, ojciec wszystkich nowych wstrząśnień i wynikłych ztąd nowych jéj urządzeń, w dniach wiszącéj powszechnéj niedoli nad zakonem, do głębi serca przejęty jéj widokiem, w obliczu wierzących mu i uginających się przed nim uczniów, podniósł głos obrony w sprawie zakonników, ktorzy kiedyś zajmowali się kształceniem jego młodości; dla których czułe zachował wspomnienie i którzy nieprzeszkodzili mu rozwinąć téj siły genialnéj, która stworzyła nową epokę w dziejach umysłu ludzkiego i tylu nieprzyjaciół dla samego zakonu. — „Przez siedm lat“—mówi ten sławny pisarz w liście do X. Latour, Rektora kollegium Ludwika wielkiego *) — „wychowywany byłem przez „ludzi, zadajacych sobie dobrowolne i niezmor„dowane prace dla wykształcenia umysłów i o„byczajów młodzieży. Od jakiegoż czasu żąda„ją, ażebyśmy nie mieli wdzięczności dla naszych „nauczycieli?... I, jakże? w przyrodzeniu człowie„ka zostanie potrzebą z przyjemnością ujrzeć dom, „w którym się urodził; wieś, w któréj wykar„miony był przez najemną kobietę, a przestanie „być potrzebą naszego serca kochać tych, którzy „podjęli dla nas szlachetne prace w piérwszych „dniach naszych ?..... Jeżeli Jezuici mają „proces w Malabarze z jakimś kapucynem, w rze„czy, o któréj nie wiem, i cóż mi do tego? czyż „to jest dla mnie powodem, ażebym był niewdzię„cznym dla tych, którzy mię natchnęli miłością „sztuk pięknych i uczuciem, które aż do grobu „staną się pociechą mojego życia? Nic nie zgła„dzi w mém sercu wspomnienia o X. *Porée*, „zarówno drogim dla wszystkich, którzy się pod „przewodnictwem jego uczyli. Nigdy człowiek „nie wystawił nauki i cnoty w powabniejszych „postaciach. Godziny jego lekcyi, były dla nas „godzinami rozkoszy; i chciałbym, ażeby w Pa„żu, jak w Atenach, pozwolono było w każdym „wieku znajdować się na podobnych lekcyach: „przychodziłbym cząsto ich słuchać. Miałem „szczęście być kształconym przez wielu Jezui„tów, charakteru księdza Porée, i wiém, że ma „godnych następców. Nakoniec, w ciągu siedmiu „lat, które przepędziłem w ich domu, cóż u nich „widziałem?.... życie najpracowitsze, najskrom„niejsze, najlepiéj urządzone; wszystkie godziny „podzielone na starania, dla nas i dla surowego „ich powołania poświęcone. Wzywam na świa„dectwo tysiące osób, wychowane przez nich, jak „i ja byłem, i nieznajdzie się żadna, któraby mo„gła zaprzeczyć temu.“

Czemużbym i ja nie miał wyznać—niezależnie od biegu sprzecznych mniemań,—że także byłem ich uczniem, chociaż w tych czasach, kiedy chwała zakonu zgasła, kiedy przy nim zostały tylko wspomnienia utraconych bogactw i wielkich dzieł, skrzywdzonych zasłużoném i niezasłużoném niepowodzeniem. Czemużbym i ja nie miał powiedzieć, że sześć lat najszczęśliwszych mojego

*) Wolter. List ten w skróceniu, ale dosłownie przytaczamy. Pisany on był w Paryżu, 7 lutego 1746 roku, i między innemi, znajduje się w dziele pod tytułem: „*Coup d'oeil du Parlment de Paris du 6 Août 1761 concernant l'Institut des Jesuites*, à Avignon 1761 p. 137.

piérwiastkowego życia, przepędziłem pod prawdziwie ojcowską ich opieką; że cóż mi do tego, że *Kołłątaj* rzucał na nich pośmiewisko, a poważny *Jan Śniadecki* obwiniał ich o wstrzymanie postępu nauk, kiedy ja się nauczyłem od nich zasad cnoty i religii, miłości porządku i téj wiary w sumienie, która jest aniołem stróżem i czystości domowego życia i czystości publicznych stosunków; że we wszystkich Jezuitach miałem nauczycieli wzorowéj bogobojności, nauki dojrzałéj; że zasady przez nich zaszczepione uczyniły mię niedostępnym na pociski losu i stały się całą moją pociechą w smutkach tego życia; że na mojém sercu leży także święte wspomnienie ***Landesa, Tywańkiewicza, Rypińskiego, Reuta, Hłuszniewicza, Perkowskiego, Buczyńskiego, Fessarda, Hibelta, Kalaboty?*** jak leży ono na sercu wszystkich tych, którzy nauk ich słuchali.

Ale życie wdzięcznego ucznia i pojęcia jego o osobistych dobroczyńcach, różne są od sądów powszechności: cnoty osób szczegółowych, nie zależne są od działań wielkiego, dążącego stowarzyszenia. Oba więc te stanowiska, niezależne od siebie, rozwiną się i oznaczą samym ciągiem wypadków, bezstronnie, prawdziwie, sumiennie opowiedzianych. Oby ta praca nasza, ślub młodego jeszcze serca, dodana do wielu innych, albo już dokonanych dla publiczności, albo się dokonywających, stając się nowym dowodem mojego dla niéj poświęcenia się, została razem pamiątką i téj ścisłéj, niczém nieuprzedzonéj prawdy, z jaką przechodziłem pole historycznych usiłowań.

Szawle **1849** r.

Aleksander Jurkowski.

Wiadomości Bibliograficzne i Artystyczne.

Kraków. P. Cercha wykończył kilka oddziałów z wielkiego ołtarza p. Maryi rzeźby Wita Stosa. Robota staranna i wierna. Wartoby zająć się wydaniem jéj w dobréj litografi, bo przecież publikacya tego zabytku i nasz smak ożywi i cudzoziemców przekona, że i u nas są płody sztuki godne iść o pierwsze z najsławniejszemi zabytkami innych krajów.

—— Antoni Oleszczyński sławny nasz rytownik, otrzymał pozwolenie powrotu do kraju wraz z bratem swoim Władysławem rzeźbiarzem. Dowiadujemy się także że pierwszemu, poleciła akademia sztuk pięknych w Petersburgu rytować obraz, za którego wykonanie wyznaczyła 50 tysięcy franków nagrody.

Poznań. Drugi poszyt obecnego półrocza Przeglądu zawiera:

1) O administracyi angielskiéj A. Szymańskiego.
2) Synowie Gedymina K. S. (rozbiór).
3) Pamiętnik Wojciecha Domańskiego.
4) Rozbiór kilkunastu dzieł polskich.
5) Kilka Nekrologów.
6) Część druga poematu *Bruno* T. Olizarowskiego i wiersz na śmierć Czackiego tegoż autora:
7) Sprawy publiczne (o ordynacyi gminnéj o deputowanych na sejm o gimnazyach krajowych).

Warszawa. Kurjer warszawski donosi: Po odebraniu najświeższych wiadomości z Paryża, o artyście naszym p. *Fajans*, który w celu dalszego kształcenia się w zawodzie swoim, jak to kilkakrotnie donieśliśmy czytelnikom naszym, udał się w roku bieżącym do téj stolicy i szkoły sztuk pięknych, stanowczo dziś prawie wyrzec już możemy, o ziszczeniu nadziei, jakie tenże artysta z chlubą dla swoich współziomków rokuje. W podróży swéj do Paryża przez Kraków, Poznań, Berlin i Drezno, zajmował się wzbogaceniem zbioru swego, portretami znakomitszych naszych rodaków, już poprzednio wymienionych w tém piśmie, a między temi, i znanego ze swéj sławy muzykalnéj wirtuoza naszego, pana Karola *Lipińskiego*. Po przybyciu zaś do Paryża, wszedł do najpierwszego i znanego w Europie zakładu litografii p. *Lemercier*. Ośmielony powodzeniem, wywalczonem niezmordowanem poświęceniem się i pracą, konkurował po kilkomiesięcznym w tym zakładzie pobycie, o przyjęcie go do akademii sztuk pięknych. Zamiar ten jego, prawdziwą przynoszący mu chlubę, uwieńczony zostoł pomyślnym skutkiem, i tym sposobem, czas swój podziela pomiędzy pracą w téjże akademii, i w zakładzie p. *Lemercier*. Dziś już tylko z wydaniem o talencie jego ostatecznego sądu, należy nam oczekiwać na pierwsze próby dzieł jego.

—— Wyszło z druku dzieło w języku rossyjskim p. t. Opis Warszawy i jéj okolic, z dodatkiem opisu Częstochowy, przez p. Piotra *Dubrowskiego*, korrespondenta cesarskiego towarzystwa historyi i starożytności rossyjskich, z najnowszym planem Warszawy, i z 4ma pięknemi rycinami.

Wilno. Pamiętnik Naukowo-literacki pod redakcyą Romualda Podbereskiego. Wydawca taką umieszcza odezwę przy drugim tomie:

„Każdy zabierający się do wydawania zbiorowego pisma, powinien przedewszystkiém zdać przed sobą dokładnie sprawę z tych dwóch zapytań: jakie mają być jego *zasady* i do jakiego *celu* ma dążyć? Trzeba więc wprzód objawić swe zasady i swoją dążność, aby czytelnicy wiedzieli czego po piśmie spodziewać się mogą i jaki kierunek umysłowy w rekadcyi przewodniczyć będzie.

Główną podwaliną pisma naszego, będzie głęboka wiara we wszechstronne i nieskończone doskonalenie się rodzaju ludzkiego, w nieustanny jego postęp ku coraz wyższym sferom ideału. Każdy wiek i każde pokolenie przykłada swoją cegiełkę do wspaniałéj budowy dziejowéj, ma jakąś robotę, jakieś posłannictwo do spełnienia. Ażeby schwycić choćby kilka rysów tego postępu, ażeby być spółpracownikiem w winnicy Pańskiéj, nie trzeba się zamykać w ciasnych formułach jakiéj pseudo-postępowéj szkoły, ale stanąwszy na wyżynie, zkąd można objąć umysłem wszystkie stopnie rozwijania się ludzkości, zapytać każdéj nowéj idei, jaką massę dobra przynosi i o ile się przyłoży do postępu ludzkości. Za granicą tych warunków niema prawdziwego postępu, a jest tylko fałsz i omamienie, jest trwonienie sił własnych na prożną i niepożyteczną robotę.“

Tu więc dajemy na zawsze rozbrat tym ludziom, którzy zawarci w szrankach obumarłéj przeszłości, nie chcą widzieć nieustannego objawu myśli bożéj w historyi i nie pojmują, że każda instytucya, każdy stan spółeczeństwa jest tylko zmiennym i niedoskonałym kształtem téj myśli i ma moc i trwałość dopóty, dopóki odpowiada celowi ludzkości. Tym kapłanom egipskim, balsamującym martwą mumię historyi i bijącym przed nią czołem, jednego tylko niedostaje: tętna życia,—i to ich właśnie potępia.— Trzymają się martwéj litery zakonu w religi, znikomych kształtów w dziejowym potoku, a nie ducha nadającego im życie. Możemy do nich zastósować słowa Chrystusa: *„po ich owocach poznają ich“*.

Inne są nasze pojęcia o historyi i religii. Za obrębem idei chrześciańskiéj, my nie pojmujemy postępu i zbawienia, i wierzymy, że wielkiém zadaniem wieku naszego jest głębokie pojęcie téj idei, będącéj dotąd dogmatem tylko, i przelanie jéj w życie spółeczne, aby się stała czynem i ciałem. Fale przewrotu, poruszające zawsze trochę mułu ze dna spółeczeństw wywołały wprawdzie w naszéj krytycznéj epoce kilka zapamiętałych okrzyków i bluźnierstw, lecz fale te miną, a kościół Chrystusowy i przeobrażone społeczeństwo zostaną *nietykalne* na swych odwiecznych podwalinach; a każda nowa idea nie będzie dla nich niepokojącém zjawiskiem, lecz im otworzy coraz szersze drogi postępu.

Pobudką kierującą nas przy wydawaniu niniejszego pisma zbiorowego, jest zupełny brak dzieł piśmiennych w naszym kraju, któreby wyrażały dążność umysłową, którąśmy powyżéj określili. Królestwo Polskie było bez porównania szczęśliwsze w tym względzie; wychodzące tam pisma zbiorowe, *Przegląd Naukowy, Biblioteka Warszawska, Dzwon Literacki* znajdywały licznych czytelników i środki utrzymania się. U nas nie było nic podobnego, oprócz kilku poronionych płodów i Athenaum, które się dotąd utrzymuje. Jest-że to winą nieczułości czytającéj publiczności? Tego przypuścić nie mogę. Jest-że to skutkiem braku piszących? Na to ostatnie zdanie przystaję, i to przekonanie naprowadziło nas właśnie na myśl wydawania naszego pisma. Celem jego jest rozpowszechnienie i krytyka pojęć nowych o literaturze, historyi, ekonomii politycznéj i naukach ścisłych.

Nasze pismo dzielić się będzie na następne oddziały:

I. Poezya i powieścio-pisarstwo.
II. Historya (w najrozleglejszém znaczeniu słowa).
III. Prawo, *Ekonomia polityczna, Statystyka.*
IV. Nauki przyrodzone i ścisłe.
V. Krytyka.
VI. Rozmaitości.

Zbiór ten szacowny, dający wyborny obraz ruchów umysłowych na Litwie i innych prowincyach dawnéj Polski, zawiera następujące artykuły.

TREŚĆ TOMU Igo.

TREŚĆ TOMU IIgo.

W DRUKARNI CZASU.